



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



JULIUSZ SŁOWACKI

„Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbilem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A w wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona z synaczkiem przy piersiach warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiewa;
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha,
A ja samotny wracam! — O boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w sercu mojem dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu, —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki

Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mnie będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione,
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha!
I wszystkie będą mię pytały echa
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem!...

* * *

Jest to początek poematu „Ojciec Zadzumionych w El-Arish,” w którym ojciec, stary Arab, odbywający kwarantannę na granicy Syrii i Egiptu, traci z dżumy siedmioro swych dzieci i żonę. Opowiadanie o tem strasznym nieszczęściu, które poeta włożył w usta samego ojca, należy do arcydzieł literatury powszechnej.

W tym roku i miesiącu właśnie upływa lat pięćdziesiąt od śmierci autora tego poematu, Juliusza Słowackiego, jednego z trójcy największych naszych poetów. Umarł bowiem dnia 3 kwietnia 1849 roku w Paryżu i pochowany został na cmentarzu Montmartre, gdzie zwłoki jego dotychczas jeszcze spoczywają.

Słowacki, urodzony 23 sierpnia (4 września) 1809 r. w Krzemieńcu, był dzieckiem niezmiernie zdolnym, bystrem i pojętnym. Na rozwinięcie jego i czytanie, wpłynęły bardzo okoliczności rodzinne. Ojciec jego, Euzebiusz Słowacki, był znanym profesorem wymowy, najprzód w Krzemieńcu, potem w uniwersytecie wileńskim, matka zaś



Salomea z Januszewskich, osoba wielkiego serca i bystrego umysłu, niezmiernie troskliwie zajmowała się wychowaniem swego jedynaka, zwracając także pilną uwagę na rozwój jego sił fizycznych, gdyż mały Julek był zawsze słabego zdrowia.

Już w ósmym roku chłopiec ku zdziwieniu starszych z lubością i zajęciem czytywał piękniejsze ustępy z Iliady w przekładzie Dmochowskiego, i nieraz wołał przysłuchiwać się rozmowom profesorów i literatów, bywających u rodziców, niż bawić się z rówieśnikami. Prawda, że zarówno u ojca jego, jak i u ojczyma, doktora Bécu, także profesora uniwersytetu, zbierali się często ludzie wielkiej nauki, talentu i dowcipu, jak obaj Śniadeccy, Groddeck, Lelewel, Borowski, Michał Baliński i wielu innych. Bywali tam także młodzi wówczas poeci: Mickiewicz, Zan, Chodźko, Odyniec, Czeczot i t. d.

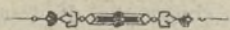
Od dzieciństwa więc Julek czuł w duszy pragnienie sławy i jako cel życia postawił sobie zostać wielkim poetą. Celu tego osiągnął, i mimo krótkiego swego życia zostawił tyle i tak wspaniałych utworów, że imię jego w literaturze złotemi zapisane zgłoskami, jaśniejąc zwłaszcza bujnością i polotem fantazyi, barwnością języka i bogactwem przenośni i porównań.

Ukończywszy uniwersytet w r. 1828, Słowacki czas jakiś mieszkał w Warszawie, urzędując w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, potem wyjechał za granicę.

Oto jest w krótkości wyliczenie miejsc, w których przebywał: r. 1831 — Drezno, Londyn, Paryż; 1832—1835 — Genewa; 1836 — Rzym; 1836 — 1837 r. podróż do Grecyi, Egiptu i Ziemi Świętej; 1838 — 1839 r. Włochy; wreszcie 1839 — 1849 r. przeważnie — Paryż.

Z matką swoją po wyjeździe z kraju raz tylko mógł się widzieć i to przez czas krótki, ale kochał ją zawsze całym sercem, a listy częste i długie, które do niej pisywał, nie tylko świadczą o jego miłości i przywiązaniu, ale należą także do najpiękniejszych kart piśmiennictwa naszego.

Utwory Słowackiego, oprócz listów, wyszły w siedmiu tomach. Nie będziemy tu ich streszczali ani nawet wyliczali, gdyż chcieliśmy dziś tylko, z powodu półwiekowej rocznicy śmierci, podać w krótkości główne daty z życia tego znakomitego poety.



Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Aj! — syknęła — ten oset, ba i pokrzywy — rzekła, przestępując z nogi na nogę. Mimo to przez żerdzie spoglądała bacznym okiem na drogę.

— A tuś mi! — krzyknęła, wychylając się z pomiędzy zielska i patrząc przez płót na biegnącego szybko wyrostka. Niewdźyd, jakby zbudzony z myśli, które go zajmowały, przystanął, lecz nie przeląkł się jakoś. Ujrzawszy też

po między zielenią konopiastą głowę majstrówny, roześmiał się serdecznie.

— Czemużes to tak uciekł — trzepotała majstrówna, usiłując włożyć głowę pomiędzy żerdzie płota. Byłabym ci i bliższą drogę wskazała i coś więcej o onych jezdnych rzekła...

— Powiadaj!... — rzekł prosząco Niewdźyd i przybliżył się do płota.

— Oj, — krzyknęła dziewczynka, chcąc uwolnić głowę z pomiędzy żerdzi, które ją jak w kleszczach trzymały.

Jasiek spojrział, a ujrzawszy uwięzioną główkę, przyskoczył prędko, podniósł ramieniem żerdź górną, a na dolnej silnie oparł się rękami, obie żerdzie rozszczyły się, jakby je kto przeciął siekierą. Głowa majstrówny od razu została oswobodzona, lecz dziewczynka miasto podziękowania, zawołała z wymówką:

— A cóżes najlepszego zrobił, tożes płót wyłamał!

I podnosiła złamane żerdzie, aby je jako tako założyć i wyłom zrobiony w płocie naprawić.

Niewdźyd nie usprawiedliwiał się nawet, tylko jął pomagać do naprawienia szkody; dziewczynka zaś cała zaperzona mówiła:

— A pocóżes ty żerdzie połamał, i bez tego byłoby się obyło, ojcowie mnie skrzyczą, gdy zobaczą.

Chłopak miał minę wielce zafrasowaną, a majstrówna widząc, że nie żartem wziął się do naprawy płota, śmiejąc się już teraz wesoło, zawołała:

— Ależes silny! ledwo dotknął płota, żerdź trzask, złamała się jak patyk!

— Ba — odpowiedział Jasiek, przybijając kamieniem kołek i związując witką połamane żerdzie. — A o tych jezdnych powiadaj!

— O jezdnych, a o którychże? — zapytała, stojąc w sadzie pomiędzy zielskiem i opierając się na płocie.

— No o tych, co przejeżdżali rankiem.

— Phi, przejeżdżało ich tyle, że nie wiedzieć o których mówić.

— Przejeżdżało ich tyle?... — zapytał Niewdźyd — a powiadałaś że jechało trzech wedle waszego domostwa, kiedyście śniadali i wszyscyście wylegli, żeby im się przypatrzyć...

— Aa, ale za tymi trzema jeszcze jechało kilku, jeno mniej strojnych, takich oto sobie, w płótniakach, a każdy prowadził konia, albo i dwa...

— Dokądże pojechali? — zapytał niecierpliwie Niewdźyd.

— No, juści do miasta, a też i wóz nie szpetny szedł za nimi.

— Bóg zapłać! — rzekł Niewdźyd, i zabierał się do odejścia.

— A tożes nie leć jak wartogłowy, jeno po ludzku wysłuchaj! — krzyknęła stanowczym głosem majstrówna.

— A to powiadaj, co wiesz, nie rób mitręgi! — odciał się Jasiek.

— A toć powiadam, że było ich wielu, siedzieli na koniach, pieszo ich nie dogonisz, a jeszcze tacy jezdni, może wojacy, jeszcze ci złe słowo powiedzą, a bodaj i co wsypią!...

— Co, miałby na mnie kto rękę podnieść! — zawołał chłopak — a oczy zamigotały mu gniewem.

— Ba, wojak na wszystko się odważy — odrzekła majstrówna.

— Oho, jakby się wziął do mnie, to i ja do niego... u szlachty taki obyczaj! — odrzekł butnie Niewdźyd, zaciśkając pięści.

— Pięścią nie wskórasz, a bronii żadnej nie masz — mówiła dalej dziewczynka.

— Nie mam, to się jej dorobie! — krzyknął podniesionym głosem Jasiek — jeno powiadaj, kędy ich znaleźć!

— O wa, nawet kija porządnego w ręku niema, a już się sroży, jakby harmatę, co ludzi zjada, prowadził.

— To nie gadaj byle czego, a powiedz co i jak wiesz o tych jezdnych.

— A to wczoraj przyszedł jeden taki pacholek od ojca i zabrał co było u matusi wędzonki, krup i rozmaitego jadła, a nawet i godnie zapłacił, bo mówił, że do starego Bodziecha winiarza, co to ma dom na przedmieściu, mają przybyć panowie z końmi, że oni muszą mieć jadła i wszystkiego w bród, a pono jadą na wojnę, czy tam na obiór króla, ja tam dobrze nie wiem, bo i pacholek nie wiedział.

— No, teraz toś przecie po ludzku mi odpowiedziała, Bóg zapłać, Bóg zapłać i za poczęstunek i za wszystko. A jak powrócę z wojny, czy tam od króla, to ci piękny gościniec przyniosę...

— Hi, hi, hi! z wojny od króla — powtórzyła, przedrzeźniając dziewczynka.

I ruszywszy ramionami, przypatrywała mu się z politowaniem.

Zrozumiał śnać ten śmiech Jasiek i zaczerwieniwszy się gniewnie ujął się pod boki i z właściwą sobie butą zawołał.

— A cóż sobie myślisz! dla szlachcica choć najbiedniejszego, wszędy droga otwarta, matka zawsze mówi: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!”

I nie spojrzawszy nawet na śmiejącą się wciąż z za płota majstrównę odwrócił się, by pójść w dalszą drogę.

— Hej, hej, panie szlachcicu, a toć że czekaj boć znów głupstwo zrobisz, nim wojewodą zostaniesz — zawołała, niezbita z tropu zachowaniem się biedaka.

Niewdźyd zatrzymał się i spojrzął chmurnie.

— Idziesz, a nie wiesz gdzie ich szukać — rzekła dziewczynka, patrząc z politowaniem na podróżnego.

— Toć na przedmieściu — odrzekł tenże zadąsany.

— Juści, niby to jedno przedmieście — mówiła śmiejąc się majstrówna.

— Nie jedno? — zapytała Niewdźyd, zapomniawszy o gniewie.

— A bo nie, od naszej strony przedmieście to Poświętne, a od drugiej też przedmieście jeno Wesoła.

— Oh! zadziwił się podróżny, a nawet i zafrasował.

— Trzeba przejść rynek, skrócić wedle kościoła na lewo, potem prosto w taką długą ulicę, co się zowie Wesoła, a tam wziąć się na prawo, potem będzie krzyż, a zaś od krzyża na lewo stoi zajazd i wiecha Bodziecha...

— Aha, odrzekł Jasiek całkiem udobruchany.

— Ja to znam drogę, mówiła dalej majstrówna, kędy jeno trzeba, wszędy trafię w mieście. Nicraz z ojcem na przechadzkę, czasem przy kramie z trzewikami stoję a i sprzedam dobrze. Ot, wiesz co, ja cię zaprowadzę...

I nie wiele myśląc wskoczyła na płot, chcąc obietnicę zaraz w czyn wprowadzić, gdy nagle od strony podwórca rozległo się niecierpliwie wołanie:

— Kunda! Kunda!!

O dla Boga! matusia wołają! ale też wrzeszczą! — zawołała dziewczyna zeskakując napowrót do sadu.

I nie zważając, na pokrzywy i oset, biegła co żywo do chaty.

— Potrzebnie ją wołali, byłaby pokazała drogę, zaw sze jak się wie kędy iść, to snadniej trafić mruknął Niewdźyd.

I poskrobał się za uchem z wielkiego frasunku.

— Och, co mi tam, przyszedłem tutaj i dalej sobie dam radę. Mamci przecie dokument szlachecki, co mi go matka zostawili.

I westchnąwszy serdecznie, sięgnął za nadro, aby przekonać się, czy ów dokument nie wysunął się z za jego ubogiej płótnianki.

Dziwne też jakieś rozrzewnienie odbiło się na jego ogorzałej twarzy, a idąc w zamyśleniu powtarzał

— Matusia, moja kochana matusia! legli już sobie w piaseczku żółtym, a mnie samego zostawili na świecie.

I otarł kułakiem zachodzące łzami oczy.

A przyspieszając kroku myślał znowu:

Byleby ich jeno znaleźć, to się z biedy wygrzebię, matusia mówili: „Nie daj się biedzie, a wyjdź na człowieka.”

— Nie dam się, nie dam, matusiu serdeczna! Wszystko bodaj można, jeno matusi już z pod mogiły nie wy dostać — myślał dalej Niewdźyd, przyspieszając wciąż kroku.

Mimo jednak pośpiechu, gdy stanął w miasteczku i znalazł się na rynku, słońce, które dotąd oświecało ostatnimi promieniami wieżyce kościoła, skryło się teraz za chmury. Mrok szary obejmował powoli dokoła stojące niskie domki, słychać było ostatnie nawoływanie matek na bawiące się przed domami dzieci; zamykano drzwi i wrota; czasem pies gdzieś w dali zaszczekał; zamigotało przez niewielkie okienka światło dogasającego ognia, wreszcie nastąpiła ciemność i cisza.

Miasto ułożyło się do snu; wśród prostych, wąskich, biegnących w rozmaite strony uliczek, został tylko sam jeden Niewdźyd. Rozglądał się napróżno w ciemności, nie pozwoliły mu nic dojrzeć; chociaż usiłował sobie przypomnieć wskazówki dane przez majstrównę, nic nie pomagało. Nie wiedział w którą udać się stronę. Spojrzał w górę, jakby stamtąd spodziewał się otrzymania jakowejś pomocy, lecz na zasutem gęstemi chmurami niebie, nie błyszczała ani jedna gwiazdeczka... Powietrze było ciężkie, duszne, nie orzeźwione nocną rosą, a przesiąknięte wyziewami śpiącego miasteczka.

— I znajdź tu teraz drogę! — pomyślał sobie Jasiek. Kazała skrócić na prawo, koło kościoła, toćżem skrócił, i cóż? Jakaś szopa, czy co; dalej ani rusz... Aha, a może ona mówiła na lewo... tak, tak, na lewo... Ba, toć nawet zda się słyszę, iż jakiś wóz gdzieś z dala turkoce.

To mówiąc, skrócił w drugą stronę, potykając się wciąż o kamienie, które właśnie sławetne miasto Nasielsk przygotowało do naprawy bruku na głównym rynku.

(d. c. n.)

Kwiaty w pokoju

napisał

E. JANKOWSKI.

(Dokończenie).

VI.

Często można zauważyć, że rośliny nabyte od ogrodników, w mieszkaniu, zwłaszcza w pierwszych dniach, więdną, żółkną, a przynajmniej mają, jak się to mówi, wygląd osowiały. Przyczyny tego nie należy szukać w nadmiernej jakoby pędzeniu roślin przez ogrodników, jak się nieraz daje słyszeć, lecz wprost w przeniesieniu do innego ciepłostanu, a zwłaszcza do powietrza suchszego. W szklarniach wszystko jest przystosowane do potrzeb życia roślinnego, między innymi zlewa się w nich w dni pogodne okna, ściany i podłogę, zrasza się rośliny, a tym sposobem są one otoczone powietrzem wilgotnym, czerpią parę wodną pewnymi narządami (włosy, gruczoły, szparki), o ile jej potrzebują, parują mniej i wolniej.

Wprost przeciwnie dzieje się w pokoju, w którym powietrze prawie zawsze jest za suche dla roślin, częst zbytnie gorące, a zawsze pełne kurzu, który oblega na liściach, zatyka szparki i przeszkadza oddychaniu i wydzielaniu.

Trzeba od tych zgubnych czynników bronić kwiatki wszelkimi sposobami. Więc na czas zamiatania dobrze jest nakryć je gęstą gazą lub kartonem, które zdejmie się dopiero po upływie jakiej godziny, gdy kurz przepędzany przez zamiatanie z miejsc na miejsce, opadnie.

Codziennie, a zwłaszcza w dni pogodne i więcej w lecie,

niż w zimie trzeba skrapiać rośliny wodą, posługując się do tego t. z. rośnikami t. j. przyrządami, z których powietrze zgęszczone przez naciskanie piłki gutaperkowej, wypycha wodę, a ta wychodzi rurką, rozpylona na bardzo drobny deszczyk. Rośliny liściaste i prędko rosnące, oraz pochodzące z miejsc wilgotnych (paprocie, ukośnice, palmy), potrzebują tego zraszania częściej, kosmate, mięsiste, kolczaste, sucholistne — mniej.

Ze rośliny nie dają się utrzymać w mieszkaniach, w których zaprowadzono oświetlenie gazowe, wiadomo to powszechnie. Tylko bardzo nieliczne rośliny z tem nieznośnym dla nich położeniem godzą się, a do nich należy *Aspidistra*, bluszcz, figi.

Jeżeli kto chce, pomimo gazu, który wprost rośliny zatrąwa, mieć cały ich dobór, ten musi dla nich urządzić jedno okno w mieszkaniu, jako szafę roślinną, t. j. odgrodzić je od mieszkania oszklonem przepierzeniem, wsunieciem w pokój. W tej szafie można ze smakiem, a nawet artystycznie rozmieścić i rozstawić rośliny różnokształtne. Hodowla jednak jest tu nieco trudniejsza i wymaga obszerniejszego opisu, może tedy kiedyindziej nią się zajmiemy.

Na zakończenie tych treściwych uwag, dam wam kochani czytelnicy jedną jeszcze radę. Nie nabywajcie nigdy roślin do pokoju od ogrodników na późnej jesieni, a nade wszystko w zimie, bo wtedy różnica pomiędzy warunkami bytu, jakie miały w szklarni, a będą miały w pokoju, jest zbyt wielka i trudna do zniesienia. Przeciwnie, rośliny kupione w lecie, przywykają do mieszkania łatwo, choćby dla tego, że przez przewietrzanie szklarni i częste otwieranie okien w mieszkaniu, wytwarzają się podobne warunki ich bytowania.

Oczywiście, wyjątek stanowią rośliny kwitnące i nabywane dla chwilowego przyozdobienia mieszkania. O zachowaniu ich nadal, po przekwitnięciu, zwykle nie chodzi.

Jednakże, kto lubiąc kwiaty i pilnie koło nich chodząc, nauczy się rozumieć ich potrzeby i wymagania, kto

umie je w pokoju hodować, ten może nabywać co i kiedy mu się podoba i cieszyć się dobrem zdrowiem ulubieńców.

By do tego dojść, potrzeba uwagi, troskliwości, zamiłowania, wytrwania i pracy.

Przynioty te prowadzą jednak nie tylko do utrzymania ładnych roślin w mieszkaniu, ale do osiągnięcia wszystkich, nawet najwyższych celów. Dla tego też posiąść je powinien się starać każdy, kto chce być pożytecznym człowiekiem, dobrym uczniem Chrystusa.

MARKHOR

CZYLI KOZA O DŁUGICH ROGACH.

Ponieważ obecnie czytelnicy Wieczorów ścigają myślaniami „Latającą Rybę” aż na szczytach gór Himalajskich, podajemy im rysunek jednego z licznych gatunków kóz, które głównie te okolice zamieszkują, mianowicie odmianę, zwaną przez krajowców *Markhor* (*Capra megaceros*) czyli koza długo-roga, gdyż rzeczywiście rogi jej są niezwykle długie i mają od 1 do 1½ metra długości.

Naturalnie, wspaniałe te rogi wyrastają u kozłów, kozy zaś i młode kozłeta mają tylko krótkie różki.

Rogi Markhora odznaczają się jeszcze swym kształtem osobliwym, bo jak widzimy, brzegi ich wyginają się kręto czyli spiralnie, i w górze rozchylają się szeroko. Również ozdobą tylko samców jest broda koloru czarnego, która koziom nadaje wyraz pewnej powagi, a która u kóz znacznie bywa krótszą.

Kozy markhora trzymają się stoków gór Himalajskich od doliny Kaszmiru do Afganistanu, żyjąc w nielicznych stadach. W czasie upałów letnich, kozy przebywają samotnie na trudno dostępnych wyżynach, gdzie mniej im słońce i owady dokuczają.

Zręczność ich i szybkość w biegu bywa nadzwyczajną. Podziwienią godną jest lekkość skoków, z jaką to zwierzę o wyglądzie poważnym, nawet nieco ciężkim, przesadza szerokie rozpadliny lub w szalonej ucieczce pędzi tuż nad krawędzią przepaści.

To też łowy na markhora zaliczane są do najniebezpieczniejszych, pochwylenie zaś żywych okazów tak jest trudne, że w Europie tylko ogród zoologiczny londyński posiada urodzone już w niewoli maleńkie stadko, a Muzeum paryżkie otrzymało w ostatnim czasie, jako osobliwość, jedno małe kozłetko.



Markhor, czyli koza o długich rogach.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

(Dalszy ciąg).

— Przewidywałem to — rzekł profesor, — zauważywszy niemożność dalszego posuwania się w górę. Spodziewałem się, że tutaj, gdzie promienie słoneczne padają prostopadlej niż w sferze umiarkowanej i zimnej spotkamy się prędzej z atmosferą bardziej rozrzedzoną. Zdaje mi się, że będziemy zmuszeni powrócić na dół, zostawić najcięższe przedmioty i ponowić usiłowanie z mniejszym ładunkiem. Może zreszto siłą pary potrafimy podnieść „Rybę” o te kilkaset metrów.



NA WSI.

Oto jeszcze wiązanka rysunków nieodżałowanego Juliusza Kossaka; kilka scen z życia wiejskiego w Galicyi wschodniej. U góry widzimy orkę, potem pędzenie koni do rzeki, wewnątrz chaty wiejskiej, wreszcie oglądanie pięknego rumaka w stajni przez gospodarza i jakiegoś gościa z Wiednia.

Wszelkie usiłowania okazały się jednak bezskutecznymi. Uchwalono tedy wylądować w jakimś dogodniejszym punkcie, i resztę drogi odbyć pieszo, to jest wdrapać się na wierzchołek.

Znaleziono na północnym stoku góry dogodne miejsce: podłużną, szeroką ławę śnieżną między dwoma skałami; tu więc zarzucono kotwicę.

— Teraz — zauważył baronet — musimy piąć się w górę bez straty czasu. Gdybym tę odludną, dziką miejscowość miał długo przed oczyma, mógłbym stracić odwagę i ochotę do naszej wyprawy.

— Lepiej nie oglądać się dokoła, póki nie osiągniemy szczytu — wtrącił praktyczny Mildmay. — Nie ponętna to rzecz wdrapywać się po tej śliskiej i stromej powierzchni lodowej

— Jeden fałszywy krok może nas stracić w przepaść! Trzeba nam wziąć z sobą toporki, kije alpejskie, drabiny sznurowe, i jeszcze zapas sznurów. Może wypadnie nam przywiązać się do siebie, jak to robią w Alpach.

Po chwili mieli już opuścić „Latającą Rybę.”

— Panowie — zawołał nagle profesor — *Quis rit*, co za góra, mówi jakieś stare przysłowie; kto wie, jak prędko wdrapiemy się na szczyt tego indyjskiego olbrzymia, a może zechcemy lub będziemy musieli przenocować tam w górze. Radzę więc, aby każdy z nas zabrał tornister z zapasami żywności; szynki, chleba, cukru i kawy jak najwięcej, no i wi-na flaszką nie zawadzi.

— Brawo! brawo! — rzekł pułkownik — z ust mi wyrwał się tę radę; takimi rzeczami nigdy gardzić nie należy, to jest węgiel dla lokomotywy! Ale ja wezmę też z sobą leciutki mój sztucerek i garstkę patronów, co także przydać się może.

W pół godziny potem podróżni nasi wolno i ostrożnie wdzierali się na górę, trawiąc nieraz po kilkanaście minut nad zrobieniem jednego kroku. Na tej wysokości nie wiele już było szczelin i rozpadlin, ale spotykali też mało występów i piąć się musieli z nadzwyczajną ostrożnością po stromej pochyłości, wbijając kije w lód i opierając się na nich.

Około południa baronet pierwszy dosięgnął jednego z najwyższych punktów, za nim podążyli pułkownik, profesor i Mildmay, zmęczeni niezmiernie. Niewątpliwie byli to pierwsi ludzie, którzy stanęli u szczytu góry Gaurisankar.

Spragnieni odpoczynku Europejczycy rozsiedli się o ile można było wygodnie na wysokiej płaszczyźnie, aby przypatrzeć się wspaniałemu widokowi. Szczęściem dla nich powietrze było czyste, najłżejsza mgła ani obłoczek nie mącił jego przezrocza, a horyzont obejmował olbrzymi okrąg.

Od północy rozciągała się rozległa równina Tybetu, przecznięta rzeką Sampoo; na prawo i na lewo ciągnął się łańcuch gór Himalajskich, którego niezliczone wierzchołki błyszczały i mieniły się w słońcu na tle mrocznych dolin i przepaści. Grozę tego widoku podnosiła jeszcze cisza głęboka, przerywana niekiedy szumem spadającej na dół lawiny. Nad wszystkimi wierzchołkami górowała piętrząca się na wschodzie góra Kintchindjinga, 28,500 stóp nad powierzchnią morza, która, lubo odległa o 185 mil ang. zdawała się być niedaleko od nich. Na zachodzie pociągał wzrok bardziej oddalony szczyt Dawalagiri. Wreszcie od południa widzieli podróżni żyzną krainę Nepalu, zroszoną niezliczonymi dopływami Gangesu, a poza nią jeszcze bogatszą prowincję Udha. Profesor, zapominając o niebezpieczeństwie, jakim groził każdy żywszy ruch, z właściwym sobie zapałem unosił się nad niezrównaną pięknnością krajobrazu i dowodził, że na niedościgłym dla ich wzroku krańcu horyzontu znajdować się musi miasto Patna, gdy nagle straszliwy łoskot w dali zwrócił ich uwagę. Ujrzeni rzecz straszną: olbrzymia bryła lodowa, na której spoczywała „Latająca Ryba,” oderwała się od skalistej ściany i z hukiem w dół się staczała. Statek zrazu

pociągnięty został wraz z lodowcem, ale wkrótce w skutek zerwania się kotwicy unosił się w górę i poszybował na wschód. „Latająca Ryba” dzieło umysłu i rąk ludzkich, wyrwała się z pod ich władzy i zaczęła fruwać samodzielnie według kierunku wiatru.

W pierwszej chwili podróżni zaniepokoiли się o statek, ale niebawem przeraziło ich więcej jeszcze pytanie: Co my teraz pocniemy? czy zdołamy zejść z tej góry, najwyższej na świecie, z tych wyżyn niedostępnych, i dostać się do miejscowości zamieszkałych przez ludzi?

Uprzytomniwszy sobie całą grozę swego położenia zerwali się wszyscy, aby czemprędzej zacząć rozpaczliwy odwrót.

— Powoli przyjaciele powoli — przestrzegał pułkownik wzruszonym głosem — nie jest jeszcze tak źle, mamy żywności na dni parę, sznury, kije, toporki. Wprawdzie wolalby zjechać ztąd na „Latającą Rybę,” ale może damy sobie radę; pamiętajmy jednak, że jedynie zimna krew i przytomność umysłu wybawić nas może z tej biedy. Potrzeba nam zupełnego spokoju. Niech żaden z was nie rusza się z miejsca, póki nie zdoła zapanować nad nerwami swymi, wtedy dopiero rozpoczniemy pochód; ja pójdę ostatni.

— Ja zaś pierwszy torować będę przejście — zawołał baronet — gdyż zarówno jak ty pułkowniku, jestem doświadczonym alpinistą, byłem przecie na Mont-Blanc.

Przemowa Leithbridge'a oddziaływała uspakajająco na nerwy towarzyszy i niebawem rozpoczęli niebezpieczny swój pochód; sir Reginald szedł pierwszy, podając rękę profesorowi, ten trzymał dłoń Mildmaya, który z kolei podpierał pułkownika niosącego drabinkę.

Schodzenie ze stromych stoków na krawędzi przepaści było niebezpieczniejszą i trudniejszą jeszcze rzeczą od wchodzenia. Powoli jednak krok za krokiem, zeszli do szerokiego na 2 stopy zaledwie występu, na którym stanęli, aby odpocząć nieco, oparłszy się o skałę.

— Muszę zwrócić uwagę waszą — odezwał się wówczas Mildmay — na okoliczność, która przysłała mi na myśl. „Latająca Ryba” unosząc się swobodnie w spokojnym powietrzu ulega sile przyciągania ku wschodniej stronie tej olbrzymiej góry, więc jeśli z łaski Boskiej powietrze pozostanie jeszcze tak spokojne przez pewien czas, możemy dosięgnąć nasz statek. Na to jednak potrzeba zwrócić się niezwłocznie ku wschodniej stronie.

— Prędej zatem w tę stronę — zawołał baronet — trzymajcie się ostro przyjaciele, może odzyskamy „Latającą Rybę,” jak zdołałiśmy wyrwać się z rąk M'Bongwela!

Ruszyli znowu; baronet szedł przodem, w kierunku wskazanym i po godzinie wysiłków podróżni spostrzegli „Latającą Rybę” znacznie zbliżoną do stoku góry.

— Wszystko dobrze! — zawołał sir Reginald z radością — widzę punkt do którego dążyć nam wypada; z tamtąd droga już będzie łatwiejszą. Ożywieni nadzieją ratunku, podróżni przyspieszyli kroku i w kilka minut znaleźli się w miejscu przez baroneta wskazanem. Był to także wąski występ skalny wystający ponad przepaścią. Z prawej i lewej strony wznosiły się prostopadle ściany pokryte lśniącem, przezroczystym lodem. „Latająca Ryba” zdawała się zbliżać do owego występu, jakkolwiek była jeszcze oddaloną od niego o jakie dwadzieścia stóp. Tu zatem podróżni postanowili oczekiwać dalszego rozstrzygnięcia swego losu.

— W Bogu nadzieja! — rzekł profesor, drżąc ze wzruszenia, że znów ogląda swe dzieło.

Zwolna bardzo statek zbliżał się coraz więcej do występu, na którym stali rozbitki, śledząc z bijącym sercem wolne szybowanie statku. Najmniejszy wiatr mógł przeciwważyć siłę przyciągania i zmienić kierunek ruchu.

Ale obawa wiatru zdawała się być płonną. „Latająca Ryba” pociągana siłą, jaką działała na jej lekki kadłub ogromna masa olbrzymiej góry, przesuwała się zwolna prawie pod stopami tych czterech ludzi, zawieszonych

między niebem, a ziemią na występie skalnym. Ale dzieliła ich od statku przestrzeń kilkołokciowa, przestrzeń nie zbyt szeroka może, głęboka jednak na sto stóp przynajmniej.

(d. c. n.)

F. Oseka.

PIERŚCIEŃ CZARODZIEJSKI.

(Dalszy ciąg).

SCENA 8.

Pil, ciż sami.

Pil. Kupcy z dalekiego wschodu biją czołem waszym dostojnościom i proszą o pozwolenie pokazania swoich towarów.

Drahomir. Niech wnijdą (*Pil odchodzi, do Zbigniewy*). Zbliży się córko moja, powitaj królewicza Władysława.

Zbigniewa (*wahająco przybliża się i mówi z przymuszonym uśmiechem*). Pierwsza podstęp waszej królewskiej mości odgadłam; wybacz, żem żartem za żart odpłaciła.

Hugo (*dwornic*). Domyślałem się tego i obawiałem się zrazu, aby to surowe przyjęcie nie wypływało z niezadowolenia, iż pozwoliłem sobie podstępu użyć, ale wnet spostrzegłem, że jest tylko krotochwilnym odwetem; choć zaczęliśmy od swaru, pozwól mi pani mieć nadzieję, że łaskę jej pozyskać potrafię.

Zbigniewa. Zaszczytem są dla nas odwiedziny tak znakomitego gościa.

SCENA 10.

(*Wchodzą kupcy, Hugo kłania się Zbigniewie i siada przy Wandzie, Zbigniewa zacinia usta*).

Madej (*przebrany za lewantyjskiego kupca*). Pokłon wielkiemu monarsze, który panuje nad swem państwem, jak słońce nad ziemią.

Drahomir. Przyjmuję go łaskawie, jakież towary wieziecie? (*kupcy rozkładają towary*).

Madej. Na okrętach pustyni przebiegamy skwarne piaski, na grzbietach galer bystre wód prądy. Oto perły poławiane w falach oceanu, oto kaszmiry, oto perskie dywany. Te pióra są ze złotych bażantów, ten materiał z wełny kóz tybetańskich.

Drahomir. Cóż więcej tam macie?

Zbójca (*przebrany za kupca*). Oto kryształowe flakony z różaną wodą, tu... bagdadzkie klejnoty, tam damasceńska broń!

Drahomir. Wiele cenisz tę klingę.

Zbójca. Sto sztuk złota.

Madej (*na stronic*). To on, niema wątpliwości, Hugo! wszędzie go szukał i nie znalazł, a teraz znajduję, nie szukając.

Drahomir. Drogi z ciebie kupiec, cudzoziemcze.

Madej. O zapłatę nie będziemy się targowali, pozostawiając ją łasce waszej księżęcej mości.

Drahomir. Dobrze, więc biorę tę klingę, a mój podskarbi wypłaci wam dwieście sztuk złota.

Zbójca (*z pokłonem*). Hojność twoja, panie, dorównywa tylko twojej mądrości i potędze.

Madej (*do Wandy*). Pozwól mi córko słońca ofiarować ci ten drogocenny przedmiot, ma on czarodziejską własność. Gdy weń spojrzysz, ujrzysz najpiękniejszą i najszlachetniejszą z dziewic.

Drahomir. Cóż to jest?

Wanda (*śmiejąc się*). Zwierciadło z polerowanego srebra.

Hugo. Ten dar wart pochwały. (*Zbigniewa marszczy brwi*).

Madej. Tobie też mężny rycerzu ośmielam się dar złożyć, (*daje mu małą skrzynkę*). Gdy otworzysz tę szkatułkę, znajdziesz w niej talizman, który przypominając ci przeszłość, pozwoli ci o przyszłości twojej wnioskować.

Hugo (*chwytając skwapliwie*). Pokaż!

Madej. Otwórz, gdy będziesz sam. A teraz czołem zmiatamy proch u stóp waszych dostojności.

Drahomir. W dziedzińcu pałacowym znajdziecie wypoczynek i obfity posiłek.

Madej. Niech was Ałłach błogosławi (*na stronic*). Hugonie, między nami rachunek nie skończony. (*Wychodzą*).

Wanda. Uczta gotowa, czy zechcesz, ojczu, wraz z gościem naszym przejść do biesiadnej sali?

Drahomir. Pójdź królewiczu, ale ty dumasz nad skrzynką swoją, chcesz może zbadać zawartość talizmanu. Nie będziemy przeszkadzali.

Hugo. Daruj panie, ale ten kupiec umiał mnie zaciekawić.

Drahomir. Bądź jak u siebie. Chodźmy stąd, królewiczu pragnie samotności (*wychodzą, światło przygusa*).

SCENA 11.

Hugo (*sam*).

Hugo. Ten kupiec miał w oczach dziwne jakieś błyski. Co to za talizman, z którego mam wnioskować o mojej przyszłości? Jaką może być ta przyszłość? Po zbrodni-czym zamachu uciekłem od zdradzieckiego sprzymierzeńca. Madej musi mnie szukać... we dnie szpiegują mnie ludzie, w nocy ścigają mnie mary. Ten dwór będzie mi przynajmniej na tygodni parę schronieniem bezpiecznym. Nikt w królewiczu Władysławie nie pozna zabójcy Hugona, nikt podstępu nie odgadnie. W tem ustroniu użyję błogiego wczasu, patrząc na wdzięczną córkę Drahomira. Co za szalone myśli roją się po mojej głowie!... (*Probuje otworzyć skrzynkę*). Czy moc czarodziejska tę skrzynkę zamknęła, że mając w ręku rozjaśnienie zagadki mego losu, wciąż muszę błądzić w ciemnościach.

SCENA 12.

Hugo, Czarownica.

Czarownica. Mówiono tutaj o Kondzie i wzywano ją.

Hugo. Co to za stara wiedźma?

Czarownica. Konda z ciemnego lasu, — ktoś tu pragnął ze mną się widzieć.

Hugo. Nie ja, na pewno... Czy nie ma przy drzwiach warty?

Czarownica (*śmiejąc się*). Ej, mój rycerzu, takim jak ja, straż wrót nie zamknie. Nie gniewaj się, żem nadeszła, może ci się przydać potrafię. Jestem czarownicą, udzielam cennych rad i kosztownych darów, umiem wróżyć, umiem tajemnice odkrywać...

Hugo (*żywo*). Wróżyć umiesz?

Czarownica. Jak ryba pływać, a ptak śpiewać. Wszelkie dobre i złe duchy posłuszne są mojemu zaklęciu

Hugo (*dając jej kilka sztuk złota*). Wróż i mnie... albo nie, zrób tak, aby się ziściły moje życzenia... czy potrafisz to uczynić?

Czarownica (*dając mu pierścień*). Sześć życzeń, które wyrazisz, kładąc na palec ten pierścień, ziszczą się. Śmierci tylko nikomu życzyć nie możesz, ani krzywdy cudzej.

Hugo (*wradowany*). Moje życzenia się ziszczą, o wielka, potężna czarodziejko! jeśli się ziszczą, ozłocę ciebie, dyamentami obsypię. Czy tylko ten pierścień jest pewny?

Czarownica. Słowo Kondy nie zawodzi nigdy, jest ono tak pewne, jak moc tego pierścienia. Teraz, jeśli chcesz wróżby, muszę zielonem drzewem ogień rozniecić, właśnie wiązkę taką widziałam. (*wychodzi*).

SCENA 12.

Hugo (*sam*).

Hugo Sława ci i cześć wspaniała czarodziejko. Moje życzenia spełnić łatwo. Tylko wpierw muszę zbadać wartość tej skrzynki... (*otwiera*). Co! Mój cyrograf. Ten kupiec to był Madej! To jego te czarne, błyszczące oczy; nie poznałem go, ale on mnie poznać musiał. Zgubić mnie teraz może. (*Po chwili ze śmiechem*). Nie, on we własne wpadnie sieci, cóż znaczy cyrograf z podpisem Hugona. Wszak król na oskarżenie moje bez trudności uwięzi tych kupców (*klaszcze w ręce wbiega Pil*). Wołaj do mnie lewantińskich kupców, tylko zaraz.

Pil. Dostojny panie, kupcy przepadli jak sen, niema ich nigdzie (*słychać dzwonek, Pil wybiega*).

Hugo. A więc to tylko groźba, ostrzeżenie, zuchwałe przypomnienie... Czy gonić ich? Nie, wzbudziłbym tylko podejrzenie? (*z wybuchem radości*). Ale ja pierścień posiadam, pierścień czarodziejski, który spełni moją wolę i ziści moje życzenia. Mogę się czuć bezpieczny, nie potrzebuję lękać się niczego, drwię z Madeja i jego mściwych zamiarów. (*Kładąc pierścień*). Pierwsze moje życzenie jest, żebym poślubić mógł Wandę, drugie, żeby przepadł ślad mojego czynu; trzecie, żeby Madej nigdy nie stanął na mej drodze. Trzema innemi spokój i pomyślność sobie zapewnię. Chciałem mi zbójco zatruć teraźniejszość i zgotować straszna przyszłość, ale ten nieoceniony klejnot obroni mnie. (*wychodzi*).

SCENA 13.

Pil (*później*) **Konda**.

Pil. Książę zaprasza waszą dostojność do biesiadnej sali, a niema już królewicza. (*w drzwiach spotyka się z Kondą*). Moce niebieskie, a to co!

Czarownica. Pil! A mam cię urwisie!

Pil (*na stronie*). Los się na mnie zawziął! (*głośno*). To jest raczej ja cię odnajduję, miłościwa moja pani, zabłąkałem się tutaj, a że księżniczka Zbigniewa szukać kazała jakiej czarodziejki, właśnie biedz miałem za tobą po całym lesie.

Czarownica (*ostro*). Co tu robisz?

Pil. Głoszę twoją sławę. (*We drzwiach staje Zbigniew*

wa, Pil do niej biegnie). Sprowadziłem ci księżno czarownicę, jak kazałaś. (*uciekając na stronę*). A teraz kiedy się razem zeszyły, chyba do lasu umknę, albo w jaką dziurę się schowam. Niema czasu do stracenia. (*wymyka się*).

SCENA 14.

Konda, Zbigniewa.

Zbigniewa. Zbliź się, więdźmo, czy umiesz przyprawić napoje?

Czarownica. Umieć.

Zbigniewa (*dając jej sakiewkę*). Przygotuj mi czarę za trutą, przynieś ją nim słońce znów zajdzie i milcz.

Czarownica. Będę niema jak grób. (*patrzac na nią*). Kto ma wychylić tę czarę?

Zbigniewa. Jak śmiesz się o to pytać?

Czarownica. Inaczej się przyprawia napój dla pacholęcia, inaczej dla rycerza, inaczej dla dziewicy.

Zbigniewa (*wahając się*). Przypraw, jak dla dziewicy.

Czarownica. Rozkazy twoje będą spełnione (*wychodzi*).

Zbigniewa (*opierając się o ścianę*). Muszę być królową...

AKT III.

(*Inna część lasu, wieczór*).

Chór wrózek niewidzialnych.

Niebo zakryte chmurami,
Nie zajaśniał miesiąc jeszcze,
Wicher szeleści liśćmi,
I wśród gałęzi coś szepcze.
Cicho ślizgają się duchy
Pośród nocej zawieruchy.
Dalej w płas, dalej w las,
Wiodąc tan, spieszmy wraz.

SCENA 1

Madej, Zbójcy (*zmarwiają się*).

Madej. Taka gratka drugi raz się nie nadarzy, sam obejrzałem wszystkie kąty... pałac mały na ustroniu, służby bardzo niewiele, oddział straży nieliczny. Nasypałem do kotłów, w których się warzy ich strawa, dwie garście usypiających korzeni. Będą leżeli, jak martwi, gdy nadejdziemy, pałac zrabować wam pozwolę, sobie tylko jeńców zostawiam.

Jeden głos. Już dosyć wyroków nas ściga.

Madej. To też nie mamy nic do stracenia, z łupami zapadniemy znowu w lasy, albo się podzielimy zdobyć i każdy ruszy w swoją stronę. Kto zechce będzie mógł zostać porządnym człowiekiem, w obcym kraju, lub gdzieindziej próbować szczęścia.

(*d. c. n.*)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3 $\frac{1}{2}$ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA Nr. 10.

TREŚĆ: Juliusz Słowacki (z portretem). — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Kwiaty w pokoju, napisał E. Janowski. — Markhor, czyli koza o długich rogach (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Na wsi (z ryc.) — Pierścień czarodziejski przez J. Osękę. — **Dodatek**: Pod śmigusie, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Z podań ludowych, przez L. Życką. — Portret babuni przez J. P. — Skrzydła odwagi, przekład P. Gr. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy**: Powrócili, powieść dla dorastającej młodzieży przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

Po śmigusie.

Z dziećmi zawsze kłopot w domu;
Rzecz to znana.
To też kłopot ma dziś Halcia
Już od rana.

Bo laleczka jej najmłodsza
Mocno chora. —
Tak, że trzeba wezwać było
Aż doktora.

Doktor długo się namyśla,
Kiwa głową,
Znać po minie, że wnet powie
Mądre słowo.

Za puls bierze, znowu myśli —
Potem wzdycha —
Aż zapytał: Czyjśóreczka
Także kicha?

Albo kaszle? lub na gardło
Się uskarża?
Może lekko się ubiera,
Nie uważa...

A to teraz influenza
Prawie wszędzie!
Niewątpliwie nic innego
Tu nie będzie.

„Zaziębienie? — pyta mama —
O, mój Boże!
Ja tak zawsze nad nią czuwam!
Lecz być może —

Bo to wczoraj, w poniedziałek
Wiekanočný,
Starsze dzieci jej sprawiły
Śmigus mocny.

Uważałam też odrazu
Że pobladła,
I dzień cały święconego
Już nie jadła.”

„Przy gorączce do jedzenia
Brak ochoty —



Rzecz doktor. — Trza poleżeć,
Wziąć na poty.

W razie gdyby przysły kłócia,
Albo spazmy.
Można także jej przyłożyć
Kataplazmy.

Zaś braciszkom i siostrzyczkom
Starszym, które
Ją oblały, zapisuje
Również... burę.

Lub, *innego coś* w tym guście
Nie z apteki, —
Bo domowe ja pochwalam
Bardzo leki!

Odszedł doktor, przepisawszy
Tę kurację —
A nuż mama uzna w duchu,
Że miał rację?

Lalki wszystkie przepłoszone,
Jakby trusie,
Siedzą w kątku — tak to bywa
Po śmigusie.

Irena Mrozowicka.

Z PODAŃ LUDOWYCH.

W chatce pod laskiem, daleko od świata, gdzie ludzie jeżdżą koleją żelazną, i daleko od miast, w których drukują ciekawe książki, — żyło dwoje staruszków. Byli oboje jeszcze zdrowi i silni, i mieli jednego syna. Pracowali sami dużo, i syna nauczyli pracy w polu, koło roli, i koło domu. Wyrósł więc syn na zdrowego i silnego chłopca i nigdy się nie lękał niepogody, deszczu, mrozu, ani zamieci. Ludzie mówili o nim, że jest twardy jak drzewo i przezwali go Miadinis, to jest drewniany. Drzewo bowiem rosnące, nazywa się po żmudzku: miadzius.

Otóż, Miadinis ciągle rosnąc w lata i w siły, spostrzegł, że nie wiele ma roboty w domu i uprosił u rodziców pozwolenie wyruszenia w świat, skąd obiecywał przywieźć im dużo zapracowanych pieniędzy.

Rodzice zgodzili się i Miadinis wyruszył na wędrowną.

Idzie przed siebie drogą, aż spotyka jakiegoś gospodarza wiejskiego, z twarzą bardzo zafrasowaną i niewesołą.

— Gdzie idziesz? — pyta ów gospodarz Miadinisa.

— Szukam miejsca, gdzie mógłbym pracować — odpowiada tenże.

— Więc chodź do mnie — mówi gospodarz — bo u mnie od trzech lat leży zboże niewymłócone w stodołach, i właśnie szukam ludzi do roboty.

— A ile pan mnie zapłaci? — zapytał chłopak.

— Dam ci tyle zboża, ile będziesz mógł podnieść na plecach — odpowiedział gospodarz.

Miadinis zgodził się na te warunki, ale w duszy myślał sobie: że ten gospodarz musi być bardzo wielkim próżniakiem, jeśli przez trzy lata nie miał czasu zboża wymłócić.

Zabrał się więc Miadinis gorliwie do roboty i przez jeden dzień zmłócił całe zboże próżniaka.

Potem wydobyl z kieszeni torebkę, która wyglądała na bardzo małą, tak była pracowicie z cieniutkich nitczek lnu utkaną, ale jak ją zaczął rozwijać, pokazało się, że jest to wór. A jak zaczął sypać zboże w ten wór, zmieściło się w nim wszystko, co wymłócił.

Według umowy, wziął ten wór ze zbożem i zarzucił go sobie na plecy; wyglądało to jakby ogromny dom niósł na grzbiecie.

Leniwy gospodarz przeraził się, widząc, że zostanie bez chleba.

Kazał więc wypuścić ogromnego wołu, który wybiegł w szalonym pędzie i rogami chciał uderzyć Miadinisa. Ale ten, pochwycił go za szyję, zdusił w mgnieniu oka i zarzuciwszy sobie na plecy już miał iść dalej.

Gospodarz, coraz więcej przerażony i zdziwiony siłą swego robotnika, kazał na niego wypuścić osła brykającego, gdyż myślał, że od uderzenia kopytami Miadinis przewróci się, i cały swój ciężar zostawi.

Ale dzielny robotnik chwycił osła za uszy, podniósł go od ziemi, zakręcił nim młynka w powietrzu, i zdusiwszy go w tym szalonym wirze, zarzucił go sobie na plecy,

razem z worem zboża i wołem, i poszedł tak jak gdyby nic nie dźwigał, prosto do domu, do rodziców.

Bo przy pracy z siłami naszymi tak się dzieje, że im więcej się ich używa, tem one więcej rosną i robią człowieka coraz mocniejszym i wytrwalszym; aby tylko kierować się w pracy rozumem, to już żadne bezmyślne siły nie przeszkodzą, — tak jak wół i osioł nie oparły się Miadinisowi.

L. Życka.

PORTRET BABUNI.

W dzieciennym pokoju u państwa P. wisiał portret babuni, a mama mówiła swoim córeczkom, jaka to dobra była ta babunia, jak je pieściła, gdy były takie maleńkie i jeszcze chodzić nie umiały, jak je doglądała w dzień i w nocy gdy były chore i jak jeszcze dzisiaj czuwa nad niemi, żeby im się co złego nie stało.

— A gdzie teraz jest babunia — spytała starsza dziewczynka Wańdzia.

— Babunia umarła i poszła do Boga, ale stamtąd wie ona o każdym waszym postępkach i smuci się bardzo, gdy która z was co złego zrobi.

Dziewczynki zapamiętały słowa mamy, często jedna drugiej przypominała, że nie trzeba źle robić, bo babunia patrzy na nie; ale czasami mimo to psociły, grymasiły tak, że mama musiała je karać!

Wańdzia szczególnie lubiła słodczyce, a że mama przestrzegala, aby ich dużo nie jadła, bo szkodzą jej zdrowiu i chowała przed łakomą córeczką, dziewczynce mimo to udało się nieraz wziąć ukradkiem jakieś ciasteczko lub kilka kawałków cukru. Wszystko to chowała zwykle pod poduszkę w swoim łóżeczku i gdy się już wszyscy pokładli, chrupała nieraz cukier jak myszka. Bywała też Wańdzia w skutek tego często chorą, a doktor musiał jej nieraz przepisywać bardzo gorzkie lekarstwo.

Jednego dnia, pod poduszką Wańdzi było już kilka kawałków cukru, i dziewczynka czekała tylko, aby się prędko położyć i schrupać jeden po drugim. Położyła się też wcześniej, służąca zapaliła małą nocną lampkę, w pokoju nie było nikogo! Wańdzia z zadowoleniem przeliczyła kawałki.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Ach! mam aż pięć kawałków, to sobie dopiero dziś użyję!

Włożyła jeden do ust i obejrzała się w około. Babunia ze złożonych ram patrzy na łakomą swą wnuczkę i nie ma takiej słodkiej, łagodnej twarzy, jak zawsze. Przeciwnie, patrzy na Wańdzię tak surowo, że aż dziewczynce nieprzyjemnym to było, więc się odwróciła w przeciwną stronę i zamknęła oczy! Usnąć jednak nie mogła, gdyż widziała ciągle zagniewaną twarz babuni.

— A może już na mnie nie patrzy — pomyślała — zobaczę, i odwróciła się.

Ale gdzież tam, Wańdzia prócz smutku w oczach babuni dostrzegła jeszcze jakby łzę, jedną i drugą!

— Babunia płacze tam w niebie, że ma taką niedobłą wnuczkę — pomyślała Wańdzia — ona mi pewnie tego łakomstwa nigdy nie wybaczy. Jaka ja nieszczęśliwa!

I serdecznie zaczęła płakać, a mama posłyszawszy przybiegła wystraszona.

— Co ci się stało, kochanko? czego płaczesz? czy przestraszyłaś się czego?

— Nie, mamusiu -- mówiła wśród łez Wańdzia — płaczę, bo zasmuciłam babunię, która jest w niebie i czuwa nad nami! Jadłam pokryjomu cukier, który schowałam pod poduszkę, babunia to zobaczyła i bardzo smutnie na mnie patrzała. Ja nie chcę babuni robić przykrości, weź mamuniu resztę cukru, ja już więcej tego nie zrobię!

Mama zabrała pozostały cukier, uspokoiła Wańdzię i pocieszyła, mówiąc, że skoro żałuje tego, co zrobiła, i przeprosiła Boga i babunię, to może spać spokojnie!

Dziewczynka rzeczywiście usnęła, a gdy nazajutrz zbudziło ją słoneczko, pierwsze spojrzenie przesłała portretowi babuni i zawołała:

— Dzień dobry ci, babuniu moja kochana, dzień dobry, Wańdzia ostatni już raz była łakomą i zrobiła ci przykrość, więcej już tego nigdy nie robi.

Twarz babuni uśmiechała się do dziewczynki jak dawniej, a w pocziwych jej oczach nie już było ani smutku, ani gniewu!

J. P.

SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

— Umowa stanęła. Niech matka za malcem trochę popłaci; ustanie, gdy odejdziemy. Rzeczy nie zabiorę, odsłecie je jutro do miasta, gdzie zabawię trzy dni. Ty mały siedź spokojnie, nie krzycz, inaczej ostremi nożycami, które wiszą mi u pasa, przytnę ci kawałek języka.

— Z nim łagodnie obchodzić się można — tłamać ojciec — chłopak do posłuszeństwa przyuczony.

— Bądźcie spokojni; dam sobie z nim radę — oparł krawiec — a teraz w drogę: na lamenty nie mam czasu. Jeśli wam żal puszczać chłopaka od siebie, to go sobie odbierzcie. Możemy zerwać umowę.

— Pozwól go tylko pocałować — prosił ojciec — wszak żegnamy dziecko nasze!

— Żegnacie je ale nie na zawsze; przyjdzie tu kiedy ze mną na robotę, do widzenia. Tylko bez płaczu, bo mązgaja gotów jestem wam zostawić; nie dbam tak dalece o niego, ile o te kilka złotych nędznego wynagrodzenia.

To mówiąc, krawiec z chłopcem na plecach wyszedł z domu i szybkim krokiem puścił się w drogę. Marcinek chciał krzyżeć, ale zabrakło mu głosu w piersiach, ze strachu zębami tylko dzwonił i z rozpaczą zwracał wzrok ku domowi. Najboleśniejszą była dla niego nie-
możność uściskania na pożegnanie rodziców; nie pojmo-
wał takiego okrucieństwa. Ujrzał matkę stojącą na progu; zawołał z tłumionym łkaniem: Mamo! — Ona podbiegła kilka kroków, jakgdyby chciała go dogonić, ale powstrzymana przez męża, padła z płaczem w objęcia starszego syna, Franciszka, który w uniesieniu żalu za bratem wygrażał krawcowi pięściami.

Mańkut roześmiał się ostrym, szyderczym śmiechem

i podwoił kroku. Marcinek, widząc matkę mdlejącą sądził, że umarła, a znikąd nie oczekując dla siebie ratunku, pragnął już tylko życie zakończyć. Oparł głowę na kościstym ramieniu krawca i stracił przytomność. Mały człowieczek przypuszczał, że chłopiec zasnął; chcąc więc ulżyć sobie ciężaru, złożył go na osła, pasącego się nad rowem przy drodze. Ten osieł, podobnie jak jego pan, był niekształtny i kulawy.

Poganiając silnemi razami zwierzę, krawiec zatrzymał się o dwie mile dalej na piaszczystych wzgórzach nadmorskich. Tu, czując się znużonym, ułożył się do snu i nie zatroszczył wcale, czy chłopiec był chory, czy też spał rzeczywiście.

Marcinek jednak powoli przychodził do siebie; otworzywszy oczy w pierwszej chwili nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Nieznana miejscowość nadmorska różniła się od okolicy jego rodzinnej wioski. Bujną trawą porośłe zagłębienie, w którym leżał nasz mały bohater, tworzyło jedną z licznych rozpadlin spotykanych w pobliżu morza. Po pierwszej chwili osłupienia, przytomność i pamięć wróciły chłopcu; serce ścisnęło mu się boleśnie na wspomnienie szkaradnego krawca, ale zaraz zerwał się przypuszczając, że go ciemiezca porzucił i że potrafi odnaleźć drogę do domu.

(d. c. n.)

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

Henryś, jeden z lepszych matematyków swojej klasy, spotkał raz znajomą wieśniaczkę ze wsi rodzinnej, która, trzymając w ręku koszyk z jajkami, stała mocno zafrasowana.

— Cóż to wam się stało, Maciejowo? — zapytał uprzejmy chłopczyk.

— O! paniczu — rzekła Maciejowa — mam wielką stratę. Przyniosłam na targ jaja i miałam za nie kupić chusteczkę dla mojej Kaśki. A teraz nie wystarczy mi pieniędzy, bo jakiś ulicznik potrafił mi koszyk i 15 jaj rozbić. Oj, biedna ja i moja Kasia, nie będzie miała chustki.

— A po czemu mieliście sprzedawać te jajka?

— Po 8 kop. za 10 sztuk, ponoć tak teraz płacą.

Henryś obliczył pozostałe w koszyku jaja i rzekł z uśmiechem:

— Otóż ja wam powiadam, moja Maciejowo! że wam i teraz wystarczy na ową chusteczkę. Sprzedajcie tylko pozostałe jajka po kopiejce za sztukę, to będziecie mieli jak raz tyle pieniędzy, coście sobie obliczyli po poprzedniej cenie za wszystkie jaja.

Ile Maciejowa przyniosła jaj na rynek, i wiele chciała za nie dostać?

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

1	W kwadracie o 5 przedziałkach ułożyć
. 2	wyrazy, aby litery oznaczone liczbami
. . 3	złożyły nazwę wyspy na m. Śródziem- nem.
. . . . 4	
. 5	1) Imię żeńskie. 2) Sprzęt szkolny.
	3) Nazwa opery pols. 4) Dopływ Odry.
	5) Ptak drapieżny. Sylaby: ha—ka—ka—ka—law—ma—nia— rya—ta—war.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Maryla St.

Ułożyć 14 wyrazów, aby początkowe i końcowe litery zostały znane przysłowie. Znaczenie wyrazów: 1) Król izraelski. 2) Miasto w gub. Rad. 3) W staroż. kraj w środk. Włoszech. 4) Imię żeńskie. 5) Zatoka m. Północnego. 6) Obronne budowle w dawnych czasach. 7) Szczyt w Kordylierach. 8) Tytuł powieści Sienkiewicza. 9) Dopływ rz. Missisipi. 10) Imię 14 faraonów egipskich. 11) Ludzie, spławiający zboże lub drzewo. 12) Przyrząd oznaczający czas. 13) Pieczeń z dzika lub sarny. 14) Owady skrzydlate.

Sylaby: Czno—da—dol—dziec—gar—hio—il—la—le—le—li—mek—ma—mo—ni—o—o—o—po—po—lart—ram—szu—top—ty—ur—u—wid—za—zes—tium—la—ry—ze.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 12-go.

Łamigłówni kropkowanej:

Biedne te rosy kropelki,
Co przez upał słońca wielki
Z pięknych kwiatów pozniwały.
Jak one pięknie jaśniały,
Kiedy księżyc patrzył na nie —
Takie małej chłopczyny było narzekanie.
Widzisz, synu, rzekł ojciec, tę tęczę na niebie,
Tam jaśnieją krople rosy
Wzniesione w górne niebiosy,
Taki los czeka i ciebie,
Pomnij, że schodząc ze znikomej ziemi,
W niebie się z istotami połączysz wyższemi.,
Ale chcąc trafić do nieba
Na ziemi dobrym być trzeba.

Zagadki 1-ej: Mewa - Ewa. Zagadki 2-iej: Drogowskaz.

Skrzynka do listów.

Życzenie **Jerzyny**, o którym pamiętaliśmy także,—spełniamy. **Rycerz Skrzydlaty** dobrze rozwiązał artymograf z Nr. 11, ten, który sam ułożył, pomieścimy chętnie jeżeli zostanie uznany za odpowiedni. Pseudonym Stanisława Z. nie znamy, bo nie każdy korespondent podaje przy pseudonymie nazwisko swoje. Oczekujemy dalszych łamigłówek, o ile czas wolny od nauki pozwoli na tę rozrywkę.

Sir Reginald Elphinstone stosownie do życzenia może odebrać premium w księgarni Wendego. Artymograf przejrzymy, zadanie sylabowe przyszło za późno, aby je pomieścić przed świętami, a teraz nie jest już na czasie.

Stasi P. w Odesie. Otrzymaliśmy próbę twego pisma, ale przed czasem nie możemy jej osądzić, dopiero przy sprawozdaniu z konkursu dowiesz się, jak nam się podobała twoja kaligrafia.

Mani Ch. w Berż. Miłe odezwy kochanych naszych czytelników nigdy nam się natrętnymi nie wydają i prosimy cię bardzo, abyś nam w przyszłym liściku doniosła coś więcej o sobie i o swych siostrzyczkach. Bardzo nas zabawiły literki czteroletniej **Stasi** przysłane na konkurs, przy udzielaniu nagród pilnie je rozpatrywać będziemy.

Mania L., Krzywdzic, Władzio G. w S. i Alf przysłali zadania własnego układu, z których nadające się do druku pomieśczać będziemy kolejno.

Góra Mazurów, Niezapominajka, Indyjanin i Franuś N. rozwiąali dobrze zadania z 11 i 12 Nr. Wieczorów.

Poziomce Próbę swego pisania na konkurs kaligrafii należy przysłać przynajmniej na dwóch dużych stronach, można przepisać prozę, lub wiersze z książki. O ile sobie przypominam sukienka którą przysłałaś oddaną była małej Zosi, bardzo biednej dziewczynce, córeczce ubogich wyrobników, znanych redakcyi.

Mary L. Bardzo się już smuciłam, nie odbierając od ciebie tak długo, żadnej wieści, sądziłam czasami, żeś już zapomniała o *Jaskółce*. Twój miły liścik rozwił moje obawy, a wszystkie wiadomości o tobie bardzo mnie zajęły. Cieszę się, że ci się podobają powieści drukowane w *Wieczorach*, a interesują pouczające artykułiki. Nie tracę nadziei, że nauka geografii z czasem stanie ci się przyjemniejszą i łatwiejszą. Wierszyk podobał nam się bardzo, o samym piśmie jeszcze teraz... sza! nic powiedzieć nie można. P. Ludwice Ż. oświadczył wyrazy uszanowania i powiedz, że cieszymy się miłą nadzieją poznania jej wkrótce.

Sarenka Modrooka niechaj przeczyta początek poprzedniej odpowiedzi, bo mniej więcej temi samymi słowami odezwać się do ciebie powinnam. Twój pseudonym bardzo jest ładny i nie radzę ci go zmieniać. Żądane książki posłałibyśmy chętnie, ale nie podajesz swego adresu, na przyszły raz wypisz go dokładnie, a prośbie twej zaraz zadość uczynimy.

Pierwszy list twój, **Kalino**, powitalam z prawdziwą przyjemnością, nie wątpiąc, że do grona stałych korespondentek należę zechcesz. Dlaczego cię martwi, że zawsze małą pozostać nie możesz? Wierź mi, że każdy wiek ma swoje dobre i ujemne strony, od nas samych, od dobrego spełnienia obowiązków naszych zależy, by tych dobrych stron wynaleść jak najwięcej. Ujemną stronę twoich lat dwunastu upatrujesz w tem, że do konkursu kaligrafii należę nie możesz, pocieszysz się prędko, bo my o starszych czytelnikach nie zapominamy i inne dla nich konkursy ogłosimy w swoim czasie.

Rumiane Jabłuszko zasługuje na wdzięczność z mojej strony za ciekawe opisy wyjęte z listu brata. Smutno jednak być ci musi, że brat twój w tak dalekich przebywa krajach, dawno już pewno go nie widziałaś? Życzę ci dobrego przygotowania do egzaminów i spełnienia obietnicy, którą mi dajesz, że podczas wakacyi częściej będziesz do mnie pisywała.

Podzielim serdecznie twój smutek **Zosiu J.** po stracie ukochanej babuni. Wszystkie do mnie listy i posyłki wprost adresować należy do redakcyi *Wieczorów*. Chętnie dopomogłabym ci w wyszukaniu pseudonimu, ale nie znam gustów twych i upodobań, ani też powierzchowności i usposobienia, a tem się kierując najłatwiej obrać sobie jaką nazwę, pomyśl dobrze, a ręczę, że ten wybór nie przedstawi ci wiele trudności. Braciszkiwi za pamięć dziękuję i nawzajem pozdrawiam.

Rozwiązanie artymografy przysłane przez **Terenię** ze **Lwowa** zupełnie jest dobre. Za życzenia świąteczne bardzo dziękuję.

Przepraszam cię najserdeczniej **Czterolistna koniczyno** za mimowolną pomyłkę w twym pseudonymie, nie popełnię jej więcej. Za małeńki liścik ładnie napisany dziękuję, artymograf złożyłam w redakcyi.

Łamigłówni **Szałwii, Mewy i Szarotki**, otrzymałam, ale wydrukowania ich przyspieszyć nie mogę, bo zwyczajem, od którego rzadko odstępujemy, nadsyłane zadania drukujemy po kolei. Zaginiony numer odesłaliśmy zaraz. A kiedy znajomość między nami zawarta, następnych listów nowej „współki” oczekiwać będą.

Wasza *Jaskółka*.